

Szczególne ugrzecznienie

1 marca 2009

Są momenty, kiedy czytając gazety czy oglądając telewizję, zaczynam się bać.

Ciarki po plecach przeszły mi w związku z wizytą amerykańskiego ministra spraw zagranicznych p. Clintonowej u towarzyszy chińskich.

Jeszcze nie tak dawno wizyty amerykańskich dygnitarzy miały lekko niesymetryczny charakter – to znaczy wiadomo było, która strona jest supermocarstwem, a która nie. Teraz takiej pewności już nie ma.

Dlaczego? Bo pani Clintonowa pojechała do Pekinu grzecznie prosić o pieniądze.

Sekretarze chińskiej kompartii to nie są chłopaki w ciemną białą, dlatego całkiem słusznie wykoncypowali sobie, iż główny partner handlowy Chin, czyli USA, lekko przesadzają z zadłużeniem i nie mają już czym płacić.

Do tej pory wielka nierównowaga w wymianie handlowej Chin z Ameryką była finansowana wystawianymi w Waszyngtonie papierami dłużnymi, czyli obligacjami skarbu USA. Dolar amerykański był główną walutą rezerwową świata, dlatego Amerykanie łatwo finansować mogli import chińskiej produkcji, emitując coraz to nowe serie tych obligacji.

Wiadomo przecież, że Ameryka to państwo potężne, a takie nie zbankrutuje, w związku z tym papiery dłużne drukowane w USA cieszyły się wzięciem na rynkach finansowych i Chińczycy również chętnie je brali – a zatem, z Chin do Ameryki płynęły kontenery pełne towaru, a z Ameryki do Chin leciały weksle rządowe zawierające obietnicę zapłaty za te towary w przyszłości. Tak to mniej więcej wyglądało w globalnej skali.

Od kilkunastu lat kolejne administracje w Waszyngtonie ten pusty mrożony pieniądz wykorzystywały do finansowania ekscesów deficytu budżetowego, wojen i innych fanaberii. Chiny stały się głównym kredytodawcą, jednocześnie uzależniając gospodarkę od swojego eksportu.

Dzisiaj, kiedy Amerykanie usiłują zrestartować gospodarkę, paląc w jej piecach miliardami dolarów, bez Chińczyków nie da się sfinansować przedsięwzięcia. No bo któż inny byłby w stanie pożyczyć USA ponad bilion dolarów (trylion po amerykańsku), jak nie skąpane w dolarach komunistyczne Chiny?

Taką nadzieję mają Amerykanie, a tymczasem Chińczykom zaczynają się zapalać ostrzegawcze żarówki. Jeśli amerykański plan uruchamiania gospodarki na pych nie wypali, to towarzysze zostaną na lodzie z tonami ładnie zadrukowanej makulatury. Stąd też ostrożnie i bez rozgłosu Chińczycy dywersyfikują portfel, póki jeszcze amerykańskie weksle coś są warte. Mniej chętnie sięgają też po nowe edycje, które w ekspresowym tempie wychodzą z drukarni.

To niepokoi ekonomistów nowej ekipy prezydenckiej, bo jest to poważne zagrożenie dla bilansu USA, a nawet może grozić bankructwem. Stąd też i szczególne ugrzecznienie pani Clintonowej na dworze karmazynowych towarzyszy.

Hillary Rodham Clinton przekonywała tam, że „kontynuowanie chińskich inwestycji w papiery dłużne USA to widoczne uznanie tego, jak bardzo oba kraje mogą na sobie polegać. – Jestem przekonana, że decyzja banku centralnego Chin, by nadal inwestować w papiery skarbu USA, to inteligentny wybór – mówiła p. Clinton. – To bezpieczna inwestycja, ponieważ Stany Zjednoczone mają wyśmienitą reputację na rynkach finansowych. Aby zrestartować ponownie swą gospodarkę – mówiła – USA muszą jeszcze bardziej zwiększyć zadłużenie, „a nie byłoby w chińskim interesie, gdyby nie były w stanie tego zrobić. Zatem kontynuowanie chińskiego wsparcia instrumentów amerykańskiego skarbu stanowi uznanie dla naszych wzajemnych powiązań;

naprawdę jeśli będziemy wzrastać lub upadniemy, to uczynimy to razem. Dzisiaj jesteście w tej samej łodzi”.

Jeśli upadniemy, to razem – czyż nie jest to dramatyczne stwierdzenie? Niestety, nieprawdziwe.

Chiny od dłuższego czasu w bardzo agresywny sposób przygotowują się do objęcia dominującej roli w gospodarce światowej. Aby produkować, Pekin nie potrzebuje zagranicznych rynków zbytu, ponieważ wciąż ma olbrzymi niewykorzystany potencjał na rynku wewnętrznym – ponad miliard konsumentów nadal żyje na poziomie o niebo niższym niż w USA i potrzebuje od zaraz towarów konsumpcyjnych, energii, surowców i żywności. Zresztą proszę zobaczyć, że na chińskiej produkcji coraz częściej pojawiają się chińskie napisy, dawniej nie tylko, że nie było takich „krzaczków”, ale nawet ukryte było gdzieś tam małym druczkiem „made in China”, dzisiaj chińskie stoi dumnie i wypisane wielkimi bukwami.

Tak więc, upadek Ameryki nie musi oznaczać upadku Chin. Wbrew nawałtynom amerykańskiej sekretarza stanu, sekretarze kierujący chińskim państwem widzą to gołym okiem. Owszem, zmniejszenie eksportu do USA spowoduje perturbacje i kłopoty, ale Chiny wyjdą z tego obronną ręką, ponieważ mają olbrzymi potencjał, którego USA systematycznie pozbawiały się ostatnimi laty na własne życzenie.

Umizgi p. Clintonowej do towarzyszy chińskich znaczą koniec supermocarstwowego statusu Ameryki i mrzonek o jednobiegunowym świecie. Gdzie te czasy, kiedy politycy amerykańscy miewali w Pekinie srogie miny i mówili o demokracji oraz prawach człowieka?

Zabiegi te oznaczają również, że jakiegokolwiek próby ograniczenia chińskiego eksportu do USA nie mają szans powodzenia i nie ma takiego kija, którym by się dało tę rzekę zawrócić.

Sytuacja na świecie jest zmienna i choć wiele osób nadal

traktuje Amerykę tak, jak na to zasługiwała 40 czy 30 lat temu, to jednak coraz bardziej pasuje do niej określenie „past glory”.

Idzie nowe i podskórnice czuję, że strach się bać.

Autor: Andrzej Kumor

Źródło: [Tygodnik „Goniec” z Toronto](#)